

Małgorzata Opoczyńska-Morasiewicz  <http://orcid.org/0000-0003-1273-9446>

Uniwersytet Jagielloński

TRAUMA NARODZIN. SZEPTY I KRZYKI PRZECHODZĄCE DO PRZYSZŁOŚCI

Abstract

Trauma of birth. Cries and whispers passing into the future

The starting point of this article are the situations described by Walt Whitman in the following words: “There was a child went forth every day,/And the first object he look'd upon, that object he became,/And that object became part of him for the day or a certain part of the day,/Or for many years or stretching cycles of years/ (...)/His own parents, he that had father'd him and she that had conceiv'd him in her womb and birth'd him,/They gave this child more of themselves than that,/They gave him afterward every day, they became part of him (...)/These became part of that child who went forth every day, and who now goes, and will always go forth every day”.

The article provides examples of the presence of parents in an adult child who sometimes commemorate in it as a wound that does not heal, which sometimes becomes stigma, and with time healed, leaves behind scars of insensitivity, to protect from injury. These examples are, on the one hand, a testimony to the trauma of birth, which is not immune to the passage of time; on the other hand, they provide arguments that trauma – once again experienced in the presence of someone who does not reduce its traces to mental disorders and behavior, may become a return to the place from which life begins: “warm and nutritious”.

Key words: trauma of birth, childhood

Było raz dziecko, które szło naprzód każdego dnia,
I stawało się pierwszą rzeczą, na którą spojrzęło,
A przedmiot ten stawał się częścią jego na cały dzień lub na część dnia,
Albo na kilka lat lub na długie lata.
Wczesne bzy (...),
I trawa (...),
I stary pijak (...),
I nauczycielka (...),
I przyjaźni chłopcy, i łobuziaki,
Jego rodzice (...)
Dawali dziecku jeszcze coś więcej,

Dawali mu siebie każdego dnia, stali się jego częścią,
Wszystko to stawało się częścią tego dziecka, które co dzień
szło naprzód i które nadal idzie, i będzie zawsze szło naprzód, każdego dnia.

W. Whitman (2003). *Było raz dziecko, które szło naprzód*, w: W. Whitman, *Kim ostatecznie jestem*,
tłum. K. Boczkowski. Inter esse, Kraków: 199–203.

Na przykład

„Gdyby nie on, nie byłoby mnie na świecie”, mówi ona, matka trzyletniego chłopca. Nie chce żyć, lecz ponieważ on żyje, ona musi. Od lat wraca do niej nocą pewien sen. Wychodzi na pola, znajduje łopatę, wbija ją w ziemię, kopie; po chwili odkopuje ciało matki. Jest martwe. Poznaje – to ona ją zabiła. Próbuje zakopać nieżywą. Budzi się przerażona i tak od lat; wciąż śni sen, którego zapomnieć nie potrafi.

Podczas gdy mówi, wyobrażam sobie, co słyszę. Słucham matki trzyletniego chłopca, trzymającej się życia dzięki niemu. On musi się trzymać sam – inaczej ona nie miałaby czego. Na jawie od trzech lat matka – we śnie wciąż jeszcze dziecko, które bez matki nie przeżyje. Więc szuka jej wkoło; choćby była pod ziemią, pójdzie i tam; znajdzie. Gdy w końcu znajduje, widzi, że jest martwa, i zaraz potem bierze na siebie ciężar jej zamkniętych oczu. (Jak inaczej mogłaby wytłumaczyć, że są zamknięte, skoro ona – przecież jej dziecko – świata poza nią nie widzi). Więc patrzy w oczy matki i widzi, że są zamknięte. Widoku jej zamkniętych oczu nie może znieść, więc je zasłania warstwami ziemi spadającymi na nie tymczasem. Matki przychodzą i odchodzą (myślę), a ziemia pozostaje na zawsze w cyklu narodzin i rozkwitu; dojrzałości i więdnienia; obumierania i odradzania się. Ziemia (przypominam sobie pisma Hezjoda) rodzi niebo, a ono ją zapładnia; zapłodniona – wydaje na świat wszystko, co odtąd będzie żywe. Dotknięcie Matki-Ziemi przywracało ongiś siły Antajosowi, dziecku Posejdonu i Gai; dopóty pozostawał niezwycięzony, dopóki miał pod stopami matkę-ziemię. Garść ziemi w oczy matki rzucone, czy przywrócą wzrok tej, która nie patrzy? I znów będzie rodzić na własnych oczach dziecko, by nie musiało trzymać się samo? Za dnia żyje na oczach dziecka; nocą, gdy ono śpi, szuka matki, a nuż tym razem jej oczy się otworzą i nastanie dzień. Moja pacjentka chciałaby matce przychylić nieba. By jak ziemia stawała się gruntem dla tego, co rodzi. Czy już przeczuwa, że dziecko nie potrafi urodzić matki, choćby chciało?

Sceny z życia

Przykład nie jest przypadkiem, toteż jego studiowanie nie prowadzi do studium, które w tym, co poszczególne, próbuje rozpoznać to, co ogólne, i z tej racji podlegające abstrakcyjnym regułom. W świecie przykładów reguł nie ma. Jest życie, zaczynające

się w miejscu, które krwawi, i z tego względu nazywane jest raną, czyli traumą (gr. *trauma* – uraz, rana, kłęska). Trauma narodzin leży u źródeł życia, które jest przykładem i nie daje się pomyśleć od początku do końca w cyklu przemian: rodzenia i umierania, wschodzenia i zachodzenia; przemijania i powracania do przyszłości. Będąc ciągiem dalszym leżącego u swych źródeł zranienia – niezapomniane daje do myślenia. To, co daje, zostawia ślad i jest zawsze bezprzykładne.

Ślad. Jakkolwiek starożytni, oznaczając go słowem *typos* (gr.), wyobrażali sobie, że jest ledwie odciskiem ptasich stóp na piasku nadmorskiej plaży, ślad nie zaciera się z byle powiewem wiatru, ruchem fal i księżyca. Upływa z czasem do przyszłości, informując ją, to znaczy zarówno kształtując, jak i zaświadczać o ścisłym związku między tymczasowymi formami czasu a ich źródłem. „Ślad”, pisała Barbara Skarga, „nigdy obojętny nie jest” (Skarga 2002: 75). Wprawdzie nie można na jego podstawie zyskać pewności co do tego, co w rzeczywistości zaszło, jednak stanowi ze swym źródłem całość, nierozzerwalną mimo upływu czasu, zacierającego ich wzajemne związki. Ślad znaczy (*signifié*) znaczące (*signifiant*) w nim i poza nim. „Jak klin zagłębia się w czas” (Merleau-Ponty 1945/1993: 91), pretendując – w pewnym sensie – „do wieczności”¹.

Zatem ślady danego życia rozwijające się w dalsze ciągi. Spróbujmy o nich pomyśleć tak, jakby nie były li tylko formą, przedstawiającą pozostałości po minionym, ale przedstawieniem, które wprawia w ruch bieg zdarzeń: czyni, sprawia, że rzeczy mają się tak, a nie inaczej, z uwagi na źródło, z którego pochodzą i w którym się przegładają; jak w krzywym zwierciadle odbijającym wszystko, ale inaczej. „Sznurek od latawca? – ale bez latawca” (Bishop 2018: 72). Ruchome cienie rzucane przez ruchome rzeczy i rzeczy nieruchome. Ślady stóp na piasku. Kto je zostawił? Czy ten, kto szedł, czy słońce, które padając z góry, uczyniło je dłuższymi od ich przyczyny? Dalsze ciągi rzeczy rozwijające się z nich tak lub inaczej w zależności od położenia względem innych rzeczy, jak one podatnych na wpływy słońca i księżyca, i jak one zostawiających po sobie ślady. Ślady czasu, sprecyzujemy, wyglądającego na jutro, lub na wczoraj; na już było, lub na jeszcze nie, na nigdy więcej, lub na może jeszcze kiedyś, jeśli będzie. I jeszcze to jedno powiedzmy, precyzując – ślady czasu, materializującego się w przykładach, z których każdy jest jego p r z e k ł a d e m.

Pamiętasz? Złowiła potężną rybę, zanim napisała ten wiersz, którego później nie chciała czytać na głos na wieczorkach poetyckich (Sosnowski 2018). Trzymała ją obok łodzi, na haczyku; nie walczyła. Spojrzała jej w oczy – były większe od jej, lecz płytsze. Przyjrzała się ciału – wzorek na skórze („zwisła płatami jak wiekowa tapeta”) – przypominał wybujałe róże, „w plamkach i zaniku ze starości”. Podziwiała posępne oblicze, aż zobaczyła, że z dolnej wargi „zswisa pięć starych linek w kawałkach, a właściwie cztery”

¹ Wieczności, sprecyzujemy za Maurice'm Merleau-Ponty'm, nie w znaczeniu jakiegoś „pozaczasowego porządku”, ale w znaczeniu „atmosfery czasu”, którym żyjemy, przyjmując go, lub odrzucając, pamiętając, lub zapominając, chcąc – nie chcąc. „Malarstwo Van Gogha” – napisze, ilustrując swoją myśl – „tkwi we mnie na zawsze, został wykonany krok, którego nie mogę cofnąć i nawet jeśli nie zachowam żadnego dokładnego wspomnienia o obrazach, które widziałem, całe moje doświadczenie estetyczne będzie odtąd doświadczeniem kogoś, kto poznał malarstwo Van Gogha” (Merleau-Ponty 1945/1993: 91).

i że wrosły w jej pysk. Zanim stały się słowem, wypuściła rybę (Bishop 2018: 21–22). Dopiero potem – jak długo potem? i czy odpowiedź ma znaczenie? mniejsze? większe? czym je mierzyć? „Nic nie jest na drugim planie. To twoja pozycja ustala hierarchię pozycji przedmiotów” (Tavares 2017: 56) – więc potem napisała wiersz: poruszenie na widok linek, które stały się ciałem, w przekładzie na litery alfabetu następujące po sobie jedna za drugą, tam i z powrotem, od pewnego końca do początku – niepewnego ciągu dalszego; więc poruszenie na widok linek w przekładzie na linijki pisma, które nie przypomina tamtego zdarzenia: ani tamtych linek (było ich pięć, a właściwie cztery), ani tamtych oczu – większych, lecz płytszych od innych.

A jednak. Mimo rzucającego się w oczy braku podobieństwa między życiem a literą (każda litera „odrysowuje kształt tego, czego brak”? [Armantrout 2018: 22]), bezprzykładne doświadczenie dane naocznie (*Selbstgegebenheit*) – ale nie nam, uobecnia czyjś czas, w przekładzie na nasz, póki są oczy otwarte. Nigdy wiernie – uobecnienie (*Vergegenwärtigung*) jest wariacją na temat zaocznej i cielesnej (*leibhaftig*) obecności (Ingarden 1917/1988: 175–177; Stein 1917/1988; Zahavi 2003/2012: 39–44); zawsze w formie, jak linijki wiersza niedokończonyj: uchodzącej swym źródłem („Pewien poeta/wymyka się//początkom każdego/zdania” [Armantrout 2018: 64]) i jednocześnie czerpiącej z nich („niby magik,/który uwalnia się//z podwodnej/klatki” [Armantrout 2018: 64]); kluczającej tam i z powrotem, na znak więzi pokrewieństwa, łączących każdy przecież początek z ciągiem dalszym, w którym jest. Więzy nierozzerwalnych, powtórzmy, mimo narzucającego się nieraz nieprawdopodobieństwa. „Kiedy przypominam sobie matkę, pamiętam jej strach./Ale na zdjęciu stoi oparta o filar,/z rękami w kieszeniach, przechyloną głową,/lekko rozbawiona” (Armantrout 2018: 22).

Ślady danego życia (*Selbstgegebenheit*) zostają na dłużej w formach, które je uobecniają (*Vergegenwärtigung*). Tak ujęte nie mogą trafić do encyklopedii czasu odchodzącego do przeszłości. Są bowiem sceną, na której życie wystawia przypadki swego losu, w przekładzie na tymczasem; na przykład na jakiś sen, który budzi śpiącego do życia, na przekór śmierci, którą zwiastuje, lub na jakiś wiersz, lub na jakąś księgę, pełną „łaskawych wiadomości”, donoszącą między innymi i na poważnie, że zwierzęta dzielą się na „(a) należące do cesarza, (b) zabalsamowane, (c) tresowane, (d) prosięta, (e) syreny, (f) fantastyczne, (g) bezpieczne psy, (i) miotające się jak szalone, (j) niezliczone, (k) narysowane cienkim pędzelkiem z wielbłądziego włosia, (l) *et caetera*, (m) które właśnie rozbiły wazon, (n) które z daleka podobne są do much” (Borges 1952/1999: 153). Ślad, jako scena, na której powraca do życia to, co wydawało się już na zawsze uwięzione w formie – w tej „podwodnej klatce”, odpornej na wschody i zachody słońca, odpornej na czas, w którym rzekomo się urywa; więc ślad, jako scena wystawiająca przypadki życia na pokaz.

Pokaz. Nie miałyby sensu bez widowni. Scena – bez widowni, nie byłaby sceną. Ślad upomina się o oczy, otwarte na to, co mogłabym nazwać, i co uczynię, t y p o l o g i ą, czyli mowę (*logos*) śladów (*typos*), nieredukującą ich do tego, co „z góry wiadomo”; co wcześniej było już powiedziane, usłyszane i zobaczone; co w międzyczasie już się opatrzyło (w znaczeniu: spowszedniało) i opatrzyło, na przykład przypisem, pouczającym czytelnika, że kobieta, która we śnie idzie za matką do grobu, lecz się od wielu lat na

depresję, a poetka, pisząca wiersz o rybie, piła, i nie tylko wodę, a książka zatytułowana *Niebiański bazar łaskawych wiadomości* w istocie nigdy nie została napisana. Oczy, otwarte na typologię, wciąż są zdolne do wątpliwości i zachwytów, i dzięki temu potrafią, może potrafią w śladach życia rozpoznać dane do myślenia, które czynić je będzie znośnym?

Ślady danego życia zostają na dłużej; a nuż przyjdzie na widownię ktoś, kto ma oczy do słuchania, i rozświetli nimi ciemność sceny. A wówczas? Czy nie staniemy się świadkami szeptów i krzyków, widoków i powidoków obchodzących przed nami swoje urodziny? – „Przy takim odpływie, jak wyraziście są te resztki wody./Białe, kruszące żebra marglu sterczą rażą w oczy,/i łodzie są suche; rzędy pali suche jak zapalki (...)/ Niektóre białe łódeczki, wciąż ze sobą szczipione, tkwią/porozbijane, inne leżą na burtach, z wybitymi dziurami,/nadal niewykupione, jeśli w ogóle będą, z ostatniego dużego sztormu,/jak wyszarpięte listy, zostawione bez odpowiedzi./Wszędzie w zatoce ścielą się stare korespondencje./Klap. Klap. Tak robi draga/i wyciąga ociekający, zębaty czerpak z marglem./Cała ta niezborna działalność trwa,/okropna, lecz ożywiona” (Bishop 2018: 30–31).

Typologie

Narysowała drzewo, dziewczynka o pięciu latach. Na drzewie rośło jabłko. Jabłko, jeszcze nie zdążyło spaść z jabłoni (co dopiero daleko), a już gniło. Zęby małej dziewczynki były zniszczone, a włosy – tłuste, nieumyte. Na rysunkach mama jest zawsze piękna i zawsze w kolorze krwi. Kiedy na scenie śpiewa dla niej piosenkę z okazji Dnia Rodziców, nie ma jej wśród uśmiechniętych par oczu. „Nie przyszła, bo mnie nie kocha”, mówi dziewczynka, malując tymczasem mamie oczy, by były duże. – Mama, która dziś nie umie zapleść włosów dziecka w wianek, była kiedyś dziewczynką, która na własne oczy widziała swoją matką we krwi. Mimo że umarła dawno temu – wciąż krwawi, znacząc niewinną jak pierwszy śnieg kartkę historią zbyt ciężką, by ją zniosło jedno życie.

Któregoś dnia przypomniała sobie, jak matka – wtedy jeszcze mieszkały pod jednym dachem – dała jej panadol, żeby nie bolało. Była dzieckiem, a matki było jak na lekarstwo. Mijały lata, ale już bez niej. Może dlatego niewiele z nich pamięta. Pewnego dnia – a było to wtedy, gdy już od dawna potrafiła żyć na własnych rękach – sięgnęła po butelkę z panadolem, niejedną, i wypila do dna. Każdy łyk, za jeden i nie ten sam zawód. Największy – za zdrowie matki, by ukoїła ból, raz jeszcze i na zawsze, cała nadzieja dziecka, jak życie długa.

Gdy była dzieckiem, jej matka wiedziała, że ciało córki jest w posiadaniu ojczyma, i nic nie robiła, by ratować jej duszę. We śnie wciąż krząta się po kuchni, tłucze garnkami, nakrywa do stołu, miesza, gdy tymczasem w pokoju dziecka nastaje koniec świata. Dziś matka płacze, a córka umiera. Dziecko, dziś kobieta, stawia matkę przed sąd i skazuje na śmierć. W swoim ciele zabija ciało matki, by więcej nie płakało.

Puk, puk! Kto tam? (*pyta ten, kto puka*). Jest tu kto? To Ty? Może Ty? Może tak? Może taki? Może nie? (*Cisza*). Po drugiej stronie – dziecko schowane przed światem.

Świat ma wielkie oczy i może zjeść; naprawdę – nie tak, jak w bajkach, po których się zasypia. Pochowane po kątach paroletnie życie, prosi się o zostawienie go w spokoju; byle dalej od ludzkich rąk, którym daleko było kiedyś do pieszczoty. Dziecko zabrane z rodzinnego domu do domu dziecka; a potem do rodziny, ale zastępczej; a potem znów do innej, tak samo zastępczej. Niby wszystko jest: bo i dom, i rodzina, najpierw jedna, potem druga i trzecia; i dziecko też jest, jedno i to samo. Wszystko – ale nic na swoim miejscu: dom – ale dziecka; rodzina – ale zastępcza. Dziecko – ale samo. Puk, puk! Kto tam? – próbują odgadnąć ci, którzy znają domy dziecka jedynie z widzenia. Tymczasem odpowiada cisza. Wymowny znak obecności nieobecnych lub: nieobecności obecnych. W dziecku wszystko jedno.

Dopiero, gdy umrze (*mówi do mnie inne dorosłe dziecko*), miłość będzie możliwa. Mimo upływu czasu i łez, nie przestaje za nią tęsknić; także wtedy, gdy życzy jej śmierci. Zwłaszcza wtedy. Bo jeśli z matki i z dziecka nie wyrosła miłość (*myślę*), a wyrosła śmierć, życzenie śmierci jest jak wieszanie wszystkiego najlepszego. Sto lat w przekładzie na dziecko bez matki brzmi czasem umieraniem.

Bała się matki bardziej niż śmierci, dlatego gdy się zbliżała, wołała śmierć na pomoc. Uciekała się do śmierci, z przerażenia matką. Umrę mamó i już nie będę przed tobą uciekać. Dopiero gdy umrę, będę mogła żyć bez strachu przed tobą? Tymczasem się tnie, znów w to samo miejsce; znów płynie krew, jak w dniu narodzin. Cały czas wraca do tej samej rany. Przecina skórę. Może za którymś razem pojawi się w niej matka?

Zanim przyszedł na świat, jego wujek popełnił samobójstwo. Tak samo skończyła jego babka, której nie zdążył zobaczyć na własne oczy. Urodzony z lęku, że historia się powtórzy (zdaniem lekarzy to dziedziczna skłonność), w wieku siedmiu lat trafił pod tira. Szedł z matką po pasach dla pieszych: jedną ręką trzymał się życia, które – zanim przyszedł na świat – już się o niego bało, drugą zmiądzżyło auto, które zahamowało na czas, ale za późno, by nie stało się raną. Od tej pory rodzice chłopca boją się o niego jeszcze bardziej. On sam niewiele mówi; w każdym razie zaprzecza, że się boi; powtarza tylko, że nie chce chodzić do szkoły; i nie chodzi. Nie potrafi powiedzieć, dlaczego. W gabinecie psychologa najchętniej bawi się przyniesionymi z domu pokemonami. Najbardziej lubi Barnabę. „Ma wielką moc?” (*pyta chłopca psycholog*). „Jest zwyczajny (*odpowiada*) i może wszystko”. „A jakiego nie lubisz?” (*rozmawiają dalej i się bawią*). „Psychicznego” – powie jeszcze, zanim skończy się czas i wróci do domu prowadzony przez rodziców za obie ręce. On, chłopiec urodzony z lęku, że na pewno zdarzy się „coś psychicznego”, marzy o byciu zwyczajnym; wtedy, myśli, wszystko będzie może.

Miał trzy lata, jak matka odkręciła gaz i gdyby nie to, że tato wrócił na czas i poczuł „co się święci”, nie miałby ich więcej. Dziś ma trzydzieści lat; za sobą wiele śmierci, które próbował sobie zadać; bez skutku; zawsze znalazł się ktoś, kto przyszedł na czas, zamieniając nieodwracalne na odwracalne tymczasem. Od paru lat pisze wiersze, ale ich nie wydaje. Tworzy – ale nie skazuje stworzonego na ziemski los, kruchy, jak życie dziecka w kruchym ciele matki, nieodpornym na śmierć, której mogła być początkiem. Kruchości życia próbuje przeciwstawić silną wolę pozbawienia się życia. Na pamiątkę śmierci, która już szła, lecz zawróciła na widok życia, które ma oczy i czuje, że się święci?

Zanim odebrał sobie życie, mieszkał na strychu. Wyrzucony przez żonę, odwiedzany był przez syna, wtedy pięcioletniego. Razem słuchali piosenek, tych samych, które chłopiec chce słuchać z panią psycholog w szkole „przez komórkę”; mijają właśnie cztery lata, odkąd syn nie może odwiedzać ojca na strychu, bo już go tam nie ma. Chłopiec martwi się, że nie pamięta twarzy taty. Czasem wydaje mu się, że ma ucho takie, jak on, a może nos. Na wszystkich fotografiach, ojciec ma obciętą głowę: „To dlatego (*tłumaczy*), że tato był bardzo wysoki i się nie mieścił”. Tamtego dnia zobaczył tylko jego nogi na wycieracze, prowadzącej do mieszkania, w którym kiedyś żyli razem; resztę (*mówi jego mama*) „dośpiewał sobie”: że nóż, że tępy, że gardło. Chłopiec (*mówi matka*) wszystko wylbrzymia i kłamie. Jest agresywny, więc go czasem straszy, że go odda. Na strych, myśli dziecko, a tymczasem chwali się przed psycholog telefonem, jaki ma po ojcu. „Nie działa (*mówi*); nic nie szkodzi (*dodaje*)”. Tylko wtedy, gdy jest agresywny, matka na niego reaguje. Piosenkami ożywia ojca, którego twarzy już nie pamięta. Matkę ożywia agresją. Jego ulubionym daniem jest makaron z pieprzem. Jest tak dobry, że jego smaku nie psuje nawet to, że gotuje go „pan w ubraniach taty”.

„Idealizuje matkę” – o dorosłym pacjencie mówi dorosły terapeuta, a tymczasem myślę, że on – dziecko w ciele mężczyzny, nie pozwala kalać swego gniazda – miejsca, które kiedyś, zanim przyszedł na świat, było jego domem; jednym i jedynym, takim, jak nigdy potem. Więc tam, wtedy, była ona i był on; karmiła go, a potem już tylko zostawiała. Był głodny, jak dzikie zwierzę, dziki kot, to tu, to tam, coś skubnie, coś ukradnie. Psy (*przypominam sobie*), zabrane ze schroniska, nawet jeśli nie są głodne, jedzą z miski do końca, a czego nie potrafią, chowają po kątach; wszędzie potem można natknąć się na pamiątki głodu, którym się karmią. Więc on, myślę o pacjencie rzekomo „idealizującym matkę”, by przeżyć jej brak, musiał „zostawić ją na potem”; tę pewność, że była kiedyś domem, w którym żyli on i ona, matka i dziecko, i niczego nie brakowało, bo byli wszystko jedno. Co to za realizm (*pomyślę jeszcze*), który widzi jedno (potem nie karmiła), ale nie dostrzega innego (karmiła, skoro wyszedł na świat z jej ciała)?

Którejś nocy wyszła z domu od męża. Zostawiła dzieci, śpiące, i poszła do mieszkania po matce – pustego; odkręciła gaz. Gdyby nie obudził się w porę i nie przyszedł, nie wiedząc, gdzie jej szukać, już by było po niej. Wcześniej zdarzało się jej wychodzić z domu, ale zawsze dotąd zabierała ze sobą dzieci; synów: starszego – lat trzynaście, i młodszego – lat siedem. Ten ostatni, ponieważ urodziła go za wcześnie, cudem przeżył. Dziś wciąż go karmi, myje, wyciera. Złości to psycholog, bo syn – „wielki jak koń metr trzydzieści”, nie może przy niej dorosnąć. Wciąż widzi w nim niemowlę, by móc (*myślę*), a raczej musieć, przy nim żyć. Dziecko małe, jeszcze mniejsze, trzyma ją przy życiu. Tak, jak parę lat wcześniej starsze w międzyczasie. Ono też, gdy ona była w ciąży i nie mogła się poruszać bez ryzyka poronienia, podawało jej leki na podtrzymywanie w niej życia. Gdy tamtego dnia – w pustym miejscu po matce – dzieci zabrakło, dziecku, niejednemu, życie pogroziło śmiercią. Braku matki dziecko nie zastąpi; a tam, gdzie jej nie ma – w pustym miejscu po matce – grozi dziecku życie brakiem; czasem grozi śmierć, jeśli nikt nie przyjdzie w porę i nie usłyszy braku.

Krzywe zwierciadło czasu

Napisałam wcześniej: ślady danego życia zostają na dłużej. I jeszcze to, że wydają się mi, owe ślady, sceną, na której przypadki życia wystawiają się na pokaz. I jeszcze jedno, że są one, ślady, miejscem powracania do życia tego, co wydawało się już przeszłe, a tymczasem wciąż jest i wciąż znaczy, dochodząc do głosu: na jawie, we śnie, na oko lub na ucho, czarno na białym – jak wiersz, namacalnie – jak gest układający się w zachowanie tego lub tamtego. Więc, napisałam, że w śladach wystawiają się ciągi dalsze niewidocznych początków; a nuż przyjdzie ktoś, kto ma oczy do słuchania, i rozświetli nimi ciemność sceny. A wówczas? – zapytałam. Czy nie staniemy się wtedy świadkami szeptów i krzyków, widoków i powidoków obchodzących przed nami swoje urodziny?

Trauma. Otwarta jak rana, która się nie goi. Czasem ma twarz matki, od której dziecko nie może oderwać wzroku, jeśli ma przeżyć. Czasem jest zamiast niej: jedyne poruszenie, na jakie dziecko może liczyć. Bywa piętnem, jak wtedy, gdy na „Puk puk”, odpowiada cisza maskowana pytaniem: „Kto tam?”, padającym z ust tego, kto puka. Z czasem się goi, a wtedy zostawia po sobie blizny nieczułości – te pola niewzruszenia, mające odtąd chronić przed każdym, kto się zbliża. Zbliżanie, dla dotkniętych traumą narodzenia w pustym miejscu po matce-domu, nie zapowiada ukojenia; a jeśli nawet, to tylko na chwilę, po której nastąpi koniec świata. Bliski, czyli ten, kto się zbliża; może więc ubliża, ścisza i zgniata; w każdym razie zapowiada konflikt, a ten wtedy zwykle kojarzony jest ze zderzeniem², po którym zostaną nowe rany i nowe blizny, jeśli się zagoją³; pewne jest to, że dawne blizny wówczas się rozbliżnią i znów będzie, jak było, co nie jest wtedy, ani potem, żadnym pocieszeniem. Wyobrażamy sobie: ten/ta ma grubą skórę, nieprzemakalną, nic do niej, do niego nie dociera, szkoda słów, szkoda czasu, nic tu po nas, „a tymczasem na naszych oczach, które patrzą, lecz nie widzą, odtwarza się scena: „Puk puk! Kto tam? Może Ty, może taki, może tak”.

Na oczach dziecka cały świat niewidoczny dla postronnego obserwatora. „Jesteś młoda i ładna; masz pracę” – „Przecież widać”, odpowiadam z ironią tej, której świat nie mieścił się w oczach, choć w nich był.

² Aleksander Brückner przypuszcza, że polskie słowo konflikt wywodzi się z łacińskiego: *fligere*, oznaczającego bicie, uderzenie, zderzenie. Swoje rozpoznanie wzmacnia powołaniem się na francuskie *près* (czyli: blisko), pochodzące z łaciny od słowa *pressus*, czyli ściśnięty. *Blizki* (zapis oryginalny z pierwszego wydania *Słownika etymologicznego języka polskiego* z roku 1927) zachowuje dwuznaczność swojego desygnatu, przechowywaną także w innych niż polski językach (Brückner 1927/1985: 29).

³ Podkreślimy tu jeszcze jedno, narzucające się pokrewieństwo; dwa słowa: bliski i blizna, powiązane wspólnym rodowodem, odsłaniającym prawdę (*étymos* niewidoczną (tak powiedzmy) na „powierzchniach reklamowych”. Bliski, czyli ten, po którym zostaje znak: „Było raz dziecko, które szło naprzód każdego dnia,/i stawało się pierwszą rzeczą, na którą spojrzano (...)/Jego rodzice, ten, który był ojcem i ta, która poczęła go w swoim łonie i na świat wydała,/Dawali dziecku jeszcze coś więcej,/Dawali mu siebie każdego dnia, stali się jego częścią”. (Whitman 2003: 199–201); niekiedy szrama, jak po zagojeniu rany, a wtedy zawsze też blizna – głębsza lub płytsza, to zależy od tego, kto ranę zadał, kiedy i jak: odjął, usunął, odsunął, ubliżył (por. Długosz-Kurczabowa 2008: 53–55).

Ewolucja, przypominam sobie słowa poety, nie jest „przystosowaniem wyglądu do nieznanego środowiska, ale tryumfem wspomnień nad rzeczywistością” (Brodski 1998: 22). Zatem tak zwane tu i teraz – „wszystko, co teraz się z nami dzieje, jest tylko odbiciem już kiedyś przeżywanego historii, i wywiera swój wpływ na przyszłe wydarzenia, dokładnie w taki sam sposób, jak terażniejszość jest wynikiem przeszłości” (Nadas 1986/2017: 58–59). Dziwimy się nieraz, że byle podmuch wiatru obraca w niwecz całą tak zwaną stabilizację. Ktoś, kto wydawał się nam mocno stać na nogach, zawsze własnych, nigdy cudzych, kto nigdy o nic nie poprosił, dając sobie radę i ze wszystkim sam, otóż nagle (nic tego nie zapowiadało), nie ten człowiek. Byłby dotąd jedynie dekoracją w przedstawieniu, w którym grał, ale nie siebie? Reklamowym banerem – rzucającą się w oczy propozycją: jest tu tak, jak widzisz? Tymczasem poza tym, co się tylko sugerowało, wydając takim, jak ten odcisnięty na płaskiej powierzchni ślad: jeden, drugi i trzeci – „na zdjęciu stoi oparta o filar,/z rękami w kieszeniach, przechyloną głową,/lekką rozbawioną” – więc poza tym, co ujawnione być mogło w granicach obrysu śladu, i tych innych, ograniczających tego, kto patrzył, był cały czas ktoś inny? Kruchy, jak w dniu narodzenia?

„Kiedy przypominam sobie matkę, pamiętam jej strach”. Na fotografii jest rozbawiona, podobnie może do rozbawienia nieuleczalnie chorych, patrzących na Maxa Blechera ze starego albumu z fotografiami. Kiedy go przeglądał, przychodziły mu na myśl „dziesiątki bólów i dramatów skrywanych z nonszalancją za uśmiechem na jakiejś fotografii zrobionej pewnego wspaniałego letniego popołudnia, w ogrodzie, w cieniu krzewu obsypanego kwiatami” (Blecher 1938/2018: 74). Zanotował potem, że „nawet fakty zewnętrzne, uznawane przez nas za jasno zdefiniowane, płaczą wiele razy tematy i myślą światła, które należy zapalić, aby oświetlić zarówno scenografię, jak i postaci zobligowane do odegrania danego zdarzenia” (Blecher 1938/2018: 73). W rezultacie, napisze dalej, „tam, gdzie miała być postać poważna i smutna, rzeczywistość wstawia niekiedy słabego aktora, który ledwo potrafi sprostać roli i który – zwłaszcza to – nie czuje się w przedstawieniu na swoim miejscu” (Blecher 1938/2018: 73).

Trauma, odporna na upływ czasu, zostawia po sobie ślady. Te – każde tymczasem, znaczą (*signifié*) znaczącym (*signifiant*) poza nim. Dostrzegać w śladach jedynie to, co tu i teraz wydaje się niezbite, a więc też niewzruszone, to pomijać rzeczywistość, rozciągającą się poza nimi we wszystkich kierunkach naraz; bezgraniczną, jak stale rozszerzającą się wszechświaty; dającą tylko znaki, się we znaki, ale w nich niezamkniętą; trwającą poza granicami widzianego na własne oczy śladu, w którym się tylko przegląda, jak na fotografii, w krzywym zwierciadle czasu. To, nazwijmy rzecz po imieniu, ubliżać tym, w których bliscy zapisali się w postaci niegojącej się rany, zablizniającej się tylko dla niepoznaki, w tej czy innej formie, niedającej po sobie poznać, co zaszło, ani że.

Wyobraźmy sobie: w starych murach szpitala, po którym dziś nie został już może żaden ślad (tylko te kartki papieru w międzyczasie zadrukowane, pierwotnie inne, pisane własną krwią, własnym potem, i oddechem, nim ostatnim), więc tam kiedyś przebiegało życie o zapachu chloroformu. „Zamknięte w ponurych korytarzach i numerowanych pokojach” (Blecher 1938/2018: 102) – nie wystawiało się na pokaz. Dramaty, które nim wstrząsały, „dokonywały się i spalały jak na małych scenach bez widzów i ze spuszczoną

kurtyną” (Blecher 1938/2018: 102). Tylko ten, kto nie dawał się zwieść tak zwanemu pierwszemu wrażeniu, mógł usłyszeć w milczących, na pozór, i niewzruszonych murach (formach, klatkach, celach), szepty i krzyki życia nieodchodzącego do przeszłości; przeciwnie – przechodzącego tymczasem do przyszłości i dającego do myślenia; także do myślenia, bo nie tylko. Co widzisz, gdy myślisz, że widzisz? Co słyszysz, gdy myślisz, że już usłyszałeś? Co czujesz, gdy myślisz, że nic poza tym? Czy wiesz, gdy myślisz, że już wszystko?

Pochowane po kątach „w podwodnych klatkach”, po numerowanych celach pod znakami statystycznymi zaburzeń psychicznych i zachowania, pochowane ciągi dalsze życia, następującego od początku. I jeśli uda się, nie zawsze potrafię, ujść uwodzicielskiej sile tego, co naoczne (*Selbstgegebenheit*) – z czasem opatrzone i opatrzone nazwą (tą, inną), może wydarzy się wtedy to cenne i poważne, ten bezprzykładny cud (bo przecież nie za sprawą rąk, które przydać się mogą tylko temu, co jest namacalne), i uobecni się przed nami (*Vergegenwärtigung*) to, co dotąd pozostawało w ukryciu, by przeżyć. Nazywam te momenty cudownymi, bo nie wiem, jak inaczej mogłabym złożyć świadectwo narodzinom tych, którzy już na świat raz przyszli. Choć może mogłabym za Peterem Nadasem powiedzieć inaczej: jeśli czyjś wzrok studiuje treści ukryte za słowami i za gestami, za wszystkim, co zmysłowo uchwytne, i intelektualnie do pojęcia, kiedy „próbuję w drugim człowieku dotknąć istoty jego zmysłowości”, to wtedy, kiedy to się dzieje, „tę chwilę należy uznać za bardzo cenną i poważną” (Nadas 1986/2017: 9).

Dziś są moje urodziny

Chciała odciąć się od przeszłości. Gdy zrozumiała, że tego nikt nie potrafi, chciała ją zapomnieć. Robiła wiele, by zatrzeć po sobie ślady: z nieudawaną radością, wykonywała to, co inni od niej chcieli. Mijała lata, aż któregoś dnia rozsypała się dekoracja budowana dotychczasowym życiem. Straciła pracę – choć nigdy nie pozwoliła sobie na to, by ona, praca, była mniej ważna od czegoś innego. Przestała spać, przestała jeść. Położyła się do łóżka, zasłoniła kotary; wyłączyła telefon. Powiedziała potem, że niewiele brakowało, aby skończyła, jak kiedyś ktoś jej bliski. Przyszła na terapię po śladach nieswojej nadziei, aby zacząć życie od początku; jakby dotąd nic się jeszcze nie zdarzyło, nic jeszcze nie skończyło; jakby możliwe było jutro uwolnione od wczoraj. Po pewnym czasie znów mogła spać, ale nie dobrze. Męczyły ją sny, które w różnych wariantach i scenografiach ukazywały, jak idzie drogą – czasem jedzie wynajętą taksówką – i nie wie dokąd. Płynie czas, kierowca już zdążył się zniescierpliwzić, żąda odpowiedzi: „Dokąd!”; uprzedza, że kurs jest drogi, i że jak tak dalej pójdzie, to okaże się, że jest niewypłacalna. Budziła się przerażona. Każdego dnia – czy to na jawie, czy we śnie – chciała iść naprzód, nie oglądając się za siebie. Nie wiedziała tylko dokąd; wciąż była, jak powiedziała któregoś dnia (nie wiedząc co), w punkcie wyjścia.

Punkt wyjścia. Jeśli nie jest tylko metaforą, nazywa po imieniu miejsce, z którego przyszliśmy na świat. Wciąż jest nim ciało kobiety, najczęściej – matki, wciąż jest nim rana,

w której bierze początek każdy ciąg dalszy. Moja pacjentka. Chciała zacząć wszystko od początku. Tymczasem cały czas w nim była. Powiedziała bezwiednie, że jest w punkcie wyjścia. Nie wiedziała, że nazywa po imieniu miejsce swojego pierwszego zranienia. Zaprzeczała swojemu pochodzeniu, którego ślady, jak wierzyła, zatarła. W braku snu i apetytu, spadku energii, z czasem jej braku, rozpoznawała objawy depresji, którą (powtarzała za innymi) można leczyć. Oczekiwała od terapii, że uwolni ją od brzemienia choroby, a wtedy będzie mogła zacząć wszystko od początku. Nie wiedziała, powtórzę, że w nim jest; że jej objawy – jak w krzywym zwierciadle czasu, ujawniają – w przekładzie na tymczasem – to, od czego chciała się odciąć. Wyeliminować objawy jej depresji (gdyby się dało?!), to jakby lustro, które jeszcze widzi, zasłonić kotarą, która już niczego nie odsłania. Na szczęście, nie traciła cierpliwości, jak taksówkarz ze snu. Odważyła się na powrót do początku, w którym rozpoznała swoje pochodzenie.

Kiedy terapia się kończyła, śniła, że płynie łódką rzeką, którą potrafiła objąć wzrokiem. Musiała przysnąć, bo gdy się ocknęła, rzeka rozlewała się tymczasem w duży akwen, który ją całą obejmował. Wyglądał na morze, a ona właśnie do niego wpływała. Tabliczka z nazwą miejscowości przypominała imię kolegi, który zachęcił ją do terapii. Nie wiedziała, co to ma znaczyć, ale czuła, że zbieżność nazwy i imienia jest znacząca. „Zreperowałam na terapii łódkę” – powie potem do mnie. „Teraz wypływam na szerokie wody. Nie wiem, dokąd dopłynę. Wiem, że wypływam na morze, a rzeką, którą tu dopłynęłam, płynę od samego źródła”. – Chciała odciąć się od przeszłości, zanim zrozumiała, że zapuściła w niej korzenie. Z trudem przychodziło jej uznać, że płynie nimi życie, skoro płynęła też śmierć; jakie by było – było, a ona przeżyła i dziś jest taka, bo inna być nie może. Łódka, którą wypłynęła w morze, nie tonęła pod naporem żywiołu. Uspokoił się, gdy uznała, że jest z niego?

Trauma narodzin, jeśli przeżyta ponownie w obecności kogoś, kto ma oczy, otwarte na t y p o l o g i ę, czyli mowę (*logos*) śladów (*typos*), ma szansę stać się znów tą raną, z której na świat wydane będzie życie. Nie inne, ale nie samo; takie, które będzie można znieść, ponieważ jest ktoś, kto go nie znosi; to znaczy: nie ubliża mu, redukując do tego, co jest tylko śladem, odcięty od swego źródła.

Chciałaby pod choinkę pierścionek z brylantem. A co? Nigdy takiego nie miała, choć od życia dostała nieraz i niejedno straciła. Dziś powoli zwija żagle; chce mieć w końcu, przy końcu, na koniec trochę czasu. Poza tym „trochę choruje”; złe wyniki, martwi się, ale idą Święta i czas pomyśleć o prezentach. – Trzeba sił herosa (*myślę, gdy jej słucham*), by udźwignąć cały ten ból, ten świat, kruchy i piękny tylko czasem. Wystarczy spojrzenie (*pomyślę jeszcze potem*), w którym jesteś, dzięki temu, co ci dano i co zabrano?

„W głębi rzeczywistości istnieje niezrozumienie na wielką skalę i okazale różnorodne” – posłuchajmy na koniec raz jeszcze Maxa Blechera.

Nasza wyobraźnia wyciąga [z niego] znikomą ilość – tyle, ile potrzebuje, aby zgromadziwszy kilka światła i interpretacji, stworzyć sobie „nic życia”. A tę nic życia, niczym delikatne i nieprzerwane pasmo światła i snów, każdy człowiek wydobywa z m a c i e r z y s t e g o [podkr. M.O.] rezerwuaru

rzeczywistości, pełnego scenerii i zdarzeń, pełnego życia i snu, tak jak nieświadome dziecko naciska pierś matki i ssie tryskające mleko, ciepłe i odżywcze (Blecher 1938/2018: 82).

PS.

Jest świadkiem ubywania matki; z każdą wizytą jest jej mniej, coraz mniej. Gdy matka uderza ją z pięści w twarz, poznaje, że to ona. Wzrusza się na myśl, że jest.

Okropne, lecz ożywione?

matki na lekarstwo
proszę (Opoczyńska niepublikowane: 442).

Bibliografia

- Armantrout R. (2018). *Ciemna materia*, tłum. K. Barczak. Biuro Literackie, Stronie Śląskie.
- Bishop E. (2018). *Santarem. Wiersze oraz trzy małe prozy*, tłum. A. Sosnowski. Biuro Literackie, Stronie Śląskie.
- Blecher M. (1938/2018). *Rozświetlona jama. Dziennik sanatoryjny*, tłum. J. Kornaś-Wawras. Książkowe Klimaty, Wrocław.
- Borges J.L. (1952/1999). *Analityczny język Johna Wilkinsa*, w: J.L. Borges, *Dalsze dociekania*, tłum. A. Sobol-Jurczykowski. Prószyński i S-ka, Warszawa.
- Brodski J. (1998). *Wiersze ostatnie*, tłum. K. Krzyżewska, S. Barańczak. Wydawnictwo Znak, Kraków.
- Brückner A. (1927/1985). *Słownik etymologiczny języka polskiego*. Wiedza Powszechna, Warszawa.
- Długosz-Kurczabowa K. (2008). *Wielki słownik etymologiczno-historyczny języka polskiego*. PWN, Warszawa.
- Ingarden R. (1917/1988). *O badaniach filozoficznych Edith Stein*, w: E. Stein, *O zagadnieniu wczucia*, tłum. D. Gierulanka, J. Gieruła. Wydawnictwo Znak, Kraków.
- Merleau-Ponty M. (1945/1993). *Fenomenologia percepcji. Fragmenty*, tłum. P. Stefańczyk. Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa.
- Nadas P. (1986/2017). *Pamięć*, tłum. E. Sobolewska. Biuro Literackie, Stronie Śląskie.
- Opoczyńska M., *zanim*, niepublikowane.
- Skarga B. (2002). *Ślad i obecność*. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa.
- Sosnowski A. (2018). *Pożyczona maszyna do szycia*. Rozmowa z Andrzejem Sosnowskim, rozmawiała Aldona Kopkiewicz. „Dwutygodnik”, 253.
- Stein E. (1917/1988). *O zagadnieniu wczucia*, tłum. D. Gierulanka, J. Gieruła. Wydawnictwo Znak, Kraków.

Tavares G.M. (2017). *Encyklopedia. Notatki*, tłum. W. Charchalis. słowo/obraz terytoria, Gdańsk.

Whitman W. (2003). *Było raz dziecko, które szło naprzód*, w: W. Whitman, *Kim ostatecznie jestem*, tłum. K. Boczkowski. Inter esse, Kraków.

Zahavi D. (2003/2012). *Fenomenologia Husserla*, tłum. M. Świąch. Wydawnictwo WAM, Kraków.